

## ROZDZIAŁ 8

# Dobro wspólne

W akcie obywatelskiego nieposłuszeństwa do placówki Target w Ford Lauderdale na Florydzie włął się rozdygotany z podniecenia tłum. Był wrzesień 2020 roku, pół roku po wybuchu pandemii COVID-19 w Stanach Zjednoczonych. Zgodnie z wymogami sklepu wszyscy w tłumie nosili maseczki. Krzycząc i wiwatując, uformowali koło, a następnie wyciągnęli telefony komórkowe i zaczęli nagrywać filmiki. Potem rozpoczął się protest. Zerwali maseczki i krążąc po sklepie, krzyczeli: „Zdejmijcie swoje maseczki! Jesteśmy Amerykanami!”.

Rozentuzjasmowana grupa buntowników otoczyła zamaskowanych sprzedawców, zachęcając ich do zerwania zasłon z twarzy. Niektórzy wycofali się, próbując uniknąć konfrontacji (i zagrożenia zdrowia). Inni ulegli zawstydzeniu, posłusznie zdejmując maseczki. Każdy taki przypadek wywoływał zachwyty wśród protestujących. Kolejny nawrócony na ich sprawę.

Podczas pandemii maseczka znalazła się w centrum wstydu. Protestujący w tamtym sklepie na Florydzie występowali w imieniu swoich przyjaciół i followersów z sieci wstydu, a tym występem udało im się zawstydzić noszących maseczki za bierne uleganie autorytetom, za bycie idącą za stadem owcą. Inni tymczasem zawstydzali ludzi za nienoszenie maseczek. Jak stwierdził sędzia Sądu Najwyższego Clarence Thomas: „w pewnych kontekstach istnieje ryzyko bycia potępionym, jeśli nie założy się maseczki”.

Każdy z konkurujących ze sobą strumieni wstydu kierowano na pewną kluczową wartość społeczną. Dla demonstrantów ze sklepu była nią obrona wolności: ci, którzy zastosowali się do nakazów – by rozciągnąć argument działaczy antymaseczkowych do hiperbolicznego ekstremum – kwestionowali prawo do samostanowienia, o które na przestrzeni wieków walczyło i umierało tysiące amerykańskich żołnierzy, nie wspominając o wizji, którą nasi praojcowie zawarli w Konstytucji.

Ten argument, oczywiście, brzmiał bezsensownie dla ludzi mieszkających w strefach zakażeń. Podczas pierwszego niszczącego wybuchu COVID-19 ci z nas, którzy mieszkali w Nowym Jorku, nie mogli zmrużyć oka, noc w noc nasłuchując dźwięków jadących przez ciemność karettek. Pandemia zabrała przyjaciół i krewnych wielu ludzi, a kolejne tysiące ryzykowały życiem w szpitalach i klinikach, ciężko pracując, by ratować innych. Konsensus był wyraźny: misją była ochrona zdrowia społeczności, szczególnie tych bardziej podatnych. Dlatego większość stosowała się w tym celu do tego, co naukowcy z rosnącą natarczywością wciąż powtarzali: maseczki chronią ludzi przed wirusem, zwłaszcza ratowników wykorzystywanych na pierwszej linii frontu. Nośmy je! Z perspektywy mojego osiedla noszenie maseczki było jak zatrzymywanie się na czerwonym świetle. Była to niewygodna zmniejszająca ryzyko, że się nawzajem pozabijamy. Nasza odpowiedzialność za siebie nawzajem przeważała nad małym uszczerbkiem na naszej wolności reprezentowanym przez maseczki. Wymusiliśmy przestrzeganie tej zasady poprzez wstyd.

Miesiąc albo dwa po wybuchu pandemii mój mąż wyszedł na ulicę bez maseczki. Zapomniał o niej. Idąc chodnikiem, trzymał się od innych na dystans, ale czuł zawstydzające spojrzenia. Ktoś nawet powiedział mu coś nieprzyjemnego. Wrócił do domu wściekły i w widoczny sposób zraniony. Pracowałam już nad niniejszą książką i byłam ciekawa, jak wstyd na niego wpłynął. Jego rezultat był istotny – od tamtej pory nie wychodził z domu, póki nie był pewien, że ma na sobie maseczkę. W społeczności wspólnie

wyznawanych wartości, od zgromadzenia Pueblo w Nowym Meksyku do nowojorskiego Upper West Side, nie ma większej siły niż wstyd, by postawić ludzi do pionu.

Ale w sieciach społecznościowych zawstydzanie sceptyków maseczkowych może się wydawać zadufane, ostentacyjnie wystawiające prawość na widok. Widziałam to na feedach moich mediów społecznościowych. Oburzeni ludzie zamieszczali zdjęcia studentów na feriach wiosennych, balujących bez maseczek w barach i na plażach Florydy. „Marzymy o tym, by mieć własne miejsce, w którym moglibyśmy wyrażać poglądy, a robienie tego z bezpiecznego komfortu swojego salonu jest jednym z niewielu hobby wciąż dostępnych dla tych, co rzadko wychodzą z domu,” napisała Amanda Hess, felietonistka „The New York Times”.

To niezadowolone cmokanie wywołało drwiące zaczepki ze strony antymaseczkowców. Nie podzielali podobnych norm i zdawali się niewrażliwi na zawstydzanie. W swoim nieposłuszeństwie byli podbudowywani przez Trumpa w Białym Domu i jego stronników, którzy upolitycznili tę kwestię, utożsamiając noszenie maseczek z tchórzostwem. Zmienili je w ksenofobiczny mem, nazywając COVID-19 „chińskim” wirusem. Użytkowniczka Twittera pisząca jako @soniapatriot dorzuciła swoje trzy grosze: „Owce szaleją na punkcie maseczek zupełnie tak, jakby to MASKI były lekarstwem na chińskiego wirusa!! Najpierw Chiny wysyłają wirusa, a potem my kupujemy maseczki zrobione w Chinach. Wszystkie owieczki mają wybór. Zostańcie w domu albo załóżcie kaganiec”. Od tamtej pory twit usunięto. W oczach @soniapatriot noszenie maseczek stanowiło fizyczny sygnał poddania się strachowi, hipochondrii i obcym najeźdźcom.

Tymczasem w całym kraju, od ulicznych kafejek do rozgrywek softballa, nastąpiły mniejsze dramaty. Robert Klitzman, profesor psychiatrii na Uniwersytecie Columbia, opisał niezręczność bycia jedyną osobą z maseczką na całej imprezie: „Parę metrów ode mnie przeszło dwoje ludzi pijących piwo bez maseczek. Zdawali się odrobinę niespokojni, jakby winni swoich

odstłoniętych twarzy i poczułem, jakby się zastanawiali, czy w związku z tym poddają ich jakiejś ocenie albo nie do końca im ufam albo może po prostu jestem nietowarzystki”.

Gdy wirus zaczął zabijać w Mitchell w Dakocie Południowej, dyskusja na temat nakazów maseczkowych zdawała się dzielić miasteczko na pół. Wedle „The Washington Post” na pełnym kłótni spotkaniu przeciwnicy maseczek argumentowali, że cały zestaw pseudonaukowych osłon utrzyma wirus z daleka. Wahaly się one od diet z dziko żyjących sardynek i wątrób z hodowanych na pastwiskach wołów do czystej kombuchy. Jedna kobieta porównała plemię antymaseczkowców do Żydów pod rządami Adolfa Hitlera: „Odstłonięta twarz jest nową gwiazdą Dawida nazistowskich Niemiec”. Tę liniijkę w kolejnym roku podchwyciła Marjorie Taylor Greene, republikańska kongresmenka z Georgii, kojarzona także z popieraniem grupy QAnon.

W miarę jak się wirus rozprzestrzeniał, konfliktowy punkt widzenia stawał się w coraz większym stopniu schronieniem dla politycznie zindoktrynowanych. Okazało się, że jeden z nich pracował z doktorem Anthonym Faucim, kierownikiem do spraw rządowych prób przeciwdziałania pandemii. Bill Crews, pijarowiec w National Institute of Allergy and Infections (Narodowym Instytucie Alergii i Chorób Zakaźnych), odzierał ze skóry swoich kolegów w internecie. Pisząc pod pseudonimem na prawicowej stronie RedState, Crews mieszał z błotem ludzi wymuszających noszenie maseczek i zamykanie placówek. „Gdyby była sprawiedliwość, wystalibyśmy parę tuzinów tych faszystów na szubienicę i powiesilibyśmy ich usmolone ciała na łańcuchach, aż by im kończyny poodpadały”, napisał w czerwcu tamtego roku. Było to, oczywiście, szaleństwo. A trzy miesiące później, gdy został zdemaskowany i zwolniony, wielu jego zwolenników prawdopodobnie nosiło już – choć niechętnie – maseczki.

Gdyby chodziło o noszenie parasoli w ulewę albo kapeluszy do ochrony przed rakiem skóry, to nie byłoby mowy o konflikcie w takiej skali. Ale maseczki to co innego – w przeciwieństwie do parasoli czy kapeluszy chronią